

Wojciech Bogusławski: „Szkoła kobiet”. Reżyseria: Krystyna Meissner. Scenografia: Otto Axer. Premiera na scenie Teatru Polskiego w Warszawie.

Na afiszu Teatru Polskiego figuruje nazwisko Wojciecha Bogusławskiego, jako autora „Szkoły kobiet”. Słuszne to i niesłuszne zarazem. Niewątpliwie Bogusławski zaadaptował „Szkołę żon” Mollera i przystosował ją do polskich warunków. Nie tylko spolszczył nazwiska, przesiadł akcję komedii Mollera do naszego kraju i wprowadził koloryt oraz realia, zaczerpnięte z polskiego obyczaju wieku XVIII; wprowadził również dwie postacie, których nie było u Mollera: bużara Filutowskiego, służącego i totumfackiego lekkomyślnego porucznika oraz służącą Felusię, subretkę i powiernicę swej pani. Filutowski jest postacią bardzo polską, natomiast Felusia wywodzi się raczej z komedii Mollera, z których Bogusławski czerpał office, dokonując swej adaptacji „Szkoły żon”. I tak np. scena obicia pana Anzelma przez jego służących przypomina żywcem podobną scenę z „Szelmuzem Skapena”. Dokonał też Bogusławski znacznych skrótów, usuwając z komedii Mollera to wszystko, co wydawało mu się dziwną. Przełożył całość, a właściwie napisał od nowa prozą, a nie wierszem, stosując się do ówczesnie panujących norm estetycznych, które nakazywały by tragedia pisana była wierszem, zaś komedia „niewiązana mową”. Tak powstał utwór oryginalny, choć przecież wtórny. Molier spolszczony, widziany oczyma „ojca sceny narodowej”.

Próbą pokazania „Szkoły kobiet” na scenie Teatru Polskiego zasługuje na uznanie. Cóż interesuje nas dziś najbardziej w tej sztuce? Chyba prawda obyczajowa o czasach stanisławowskich, koloryt tej epoki i jej smak doświadczonej frywolności, a przecież nie pozbawiony elegancji i dobrego smaku. A także piękny, soczysty język, jakim owi Polacy z końca szlacheckiej

Rzeczypospolitej mówili. Bogusławski przekazuje go nam w całej jego gietkości, dowcipie i blasku. Nie jest to wprawdzie język „Firycy w zalotach”, urzekający swą lekkością i urokiem, ale jest to język prawdziwy sfar średnich i niższych, a nie dworskich galantów i elegantów.

Przedstawienie w Teatrze Polskim jest nierówne. Pierwsza część dłuży się i nuży, mimo kilku dobrych pomysłów i wysiłków Krystyny Meissner, reżysera spektaklu. W drugiej części jest lepiej. Więcej tu ruchu, tempa, humoru, a scena nocnej ucieczki Anusi i Felusi oraz obicia pana Anzelma jest naprawdę zabawną.

„Szkołę żon”, podobnie jak „Szkołę kobiet”, gra się zwykle dla wielkiego aktora, który potrafi zagrać tragicomiczną rolę Arnolfa, czy też Anzelma. Pamiętnie są wielkie kreacje Jouweta i Jaracza, którzy stworzyli w roli Arnolfa postacie tak odmiennie i tak znakomite. W przedstawieniu Teatru Polskiego rolę nowoczesnego „wychowawcy” swej przyszłej żony, tragicznie śmiesznego pana Anzelma, który zostaje rogemcem zanim jeszcze został mężem, gra Tadeusz Fijewski. Rola ta jednak odpowiada tylko częściowo temu wybitnemu aktorowi. Jest znakomity w jej partiach farsowych, kiedy śmiejemy się z wystrychniętego na dudka starucha. Gorzej jest w scenach tragicomicznych, kiedy Fijewski nie potrafi przekazać nam tragedii człowieka, który przez 10 lat żył myślą o małżeństwie z Anusią, na swój sposób ją kocha i teraz ma ją utracić. Zupełnie zaś niewiarygodne są sceny mitosne między tą niedobrą paną, gdyż nie wyczuwamy u Anzelma ani uczucia dla swej wychowawcy, ani nawet starczej namiętności, która kazała mu z takim uporem i zaślepieniem dążyć do

tego nierozsądnego związku. Anzelm Fijewskiego jest za stary. Jego zamiar poślubienia Anusi może wzbudzać u widzów tylko uśmiech politowania, lub gromki śmiech sztyrdawstwa. A tymczasem u Mollera, i chyba także u Bogusławskiego, sprawa jest znacznie bardziej skomplikowana, a wiek pana Anzelma nie przekracza chyba pięćdziesiątki.

Miła niespodzianką jest natomiast w tym spektaklu Porucznik w wykonaniu Andrzeja Antkowiaka. Stwarza on postać żywą i sympatyczną, daje smak i koloryt owej Warszawki czasów saskich i stanisławowskich, ma ładny gest i ruch, umie nosić kostium. Zabawnym Filutowskim jest Tadeusz Płuciński. Wyraziście gra jego partnerkę, służącą Anusi Jolanta Bohdal. Natomiast biedną wydaje mi się obsada roli Anusi. Elżbieta Jeżewska i brak owej naiwności, połączonej z mimowolną prawie zalotnością, która tyle uroku daje tej postaci. Anusia jest w przedstawieniu Teatru Polskiego za ciężka, za duża, co powoduje dodatkowe efekty farsowe w zestawieniu ze wzrostem Tadeusza Fijewskiego. A przecież nie o tego typu humor w tej komedii chodzi. Rzeczelnie grają swe role Tadeusz Białoszyński (Staruszkiewicz) i Maciej Maciejewski (Rozsądnicki). Bardzo śmieszni są w rolach stróżów pana Anzelma Jerzy Kozmarek (Maciek) i Maciej Borniński (Bartek).

Scenografię do „Szkoły kobiet” zaprojektował Otto Axer. Ma ona walory jego talentu i smaku. Można tylko zgłosić pewne wątpliwości w sprawie epoki, jaką przedstawia. Inspirowane wyraźnie klimatem rysunków Kostrzewskiego, nawiązuje chwilami do świetnych sztuchów Chodowieckiego. Wydaje się zaś, że „Szkoła kobiet” wymagałaby oprawy nawiązującej raczej do Canaletta, Norblina i innych malarzy epoki stanisławowskiej, a więc wcześniejszej od tego, co pokazano nam na scenie.